

GACEK  **SZCZEPAŃSKA**



Katarzyna Gacek, Agnieszka Szczepańska

ZIELONY TRABANT

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67950-33-6

Copyright © Katarzyna Gacek, Agnieszka Szczepańska

Tekst: Nowy Świat, Warszawa 2008

PROLOG

Jak ja lubię to miejsce, pomyślała Lilka, siadając na ławce na samym brzegu skarpy w Parku Skaryszewskim.

Dotarła tu z trudem. Nowe, eleganckie buty na obcasie przez całą drogę od przystanku okropnie ją uwierały, ale mimo to było warto. Przestrzeń, która się przed nią rozpostarła, działała naprawdę kojąco, a w dodatku można było sobie pysznie pomachać nogami w powietrzu.

No więc pomachała i od razu zgubiła prawy pantofel. Leżał teraz w trawie i migotał modną tej wiosny czerwienią, a Lilce wcale się nie chciało po niego wstawać. Niech sobie leży, pewnie drugi też zaraz spadnie...

Majowe słońce, które powinno dopiero przymierzać się do grzania, paliło z całych sił, wyrabiając chyba ze dwieście procent normy. Jak miło... Lilka oparła się wygodniej i rozpięła białą, koszulową bluzkę, żeby choć trochę opalić blady dekolt. Najchętniej wystawiłaby do słońca również nogi, ale wolała nie podwijać eleganckich spodni. Mogłyby się pognieść i potem głupio by wyglądała.

Powietrze wypełniał intensywny aromat świeżo skoszonej trawy i żywiczna woń rosnących wokoło świerków. Przymknęła na chwilę oczy. Gdzieś z oddali, wraz z lekkim podmuchem wiatru, doleciał oszałamiająco słodki zapach kwitnących bzów. Było tak przyjemnie, że Lilce nie przeszkadzał ani terkot dziecięcego rowerka na żwirze, ani poszczekiwanie bawiących się niedaleko psów, ani nawet głośny śmiech dziewczyny, która na pobliskiej ławce obejmowała się ze swoim chłopakiem.

Lilka też przychodziła tu kiedyś z Tomkiem. Dwa lata temu, w maju, spacerowali przytuleni parkowymi alejkami, planując wspólną, różową przyszłość.

Tylko potem ten kolor tak im jakoś... niezupełnie wyszedł.

Z zamyślenia wyrwało ją natrętne brzęczenie tuż koło ucha. Osa. Złośliwa i namolna, jak to mają w zwyczaju. Lilka machnęła kilka razy niecierpliwie ręką, co oczywiście nic nie dało. W poszukiwaniu skuteczniejszej broni sięgnęła więc po leżącą obok na ławce tekturową teczkę.

Teczka była biała, zwyczajna, zawiązywana na troczki. Ktoś na niej napisał czerwonym flamastrem „Felicja Rudnicka”, a pod spodem długi ciąg liter i cyfr, pewnie numer sprawy.

Osa musiała obiektywnie ocenić swoje szanse i wreszcie odleciała. Lilka westchnęła, chwilę pukała bezmyślnie paznokciem w sztywną okładkę teczki, a w końcu rozsypała tasiemki i zajrzała do środka. W przezroczystej, plastikowej koszulce leżał najeżony urzędowymi pieczęciami odpis testamentu ciotecznej babki Felicji.

Dostała go do ręki zaledwie godzinę wcześniej, po oficjalnym odczytaniu w sądzie. Na sali, oprócz sędziego i Eweliny, młodszej siostry Lilki, siedziała jeszcze mocno wymalowana sześćdziesięciolatka o bujnych kształtach i tlenionych na jasny blond, kunsztownie wytapirowanych włosach.

Lilka pamiętała ją dobrze z pogrzebu babki. Wtedy, trzy miesiące temu, blondyna, składając im kondolencje, dość nachalnie dopytywała, kiedy zamierzają wszcząć postępowanie spadkowe. Najwyraźniej nie miała pojęcia, że nikt z ich rodziny nie spodziewa się schedy po ciotecznej babce. Matka Lilki wzruszyła na to niechętnie ramionami i rozdrażniona burknęła coś niezrozumiałego pod nosem.

Delikatnie rzecz ujmując, matka i ciotka Felicja nie przepadały za sobą.

A potem, któregoś dnia, Lilka znalazła w skrzynce wezwanie do sądu. Od razu złapała za telefon i wykręciła numer siostry.

– Cześć, to ja. Słuchaj, dostałam wezwanie do sądu na odczytanie testamentu ciotki Felicji. To chyba jakaś pomyłka?

– Raczej nie, bo ja też dostałam. Ale to dziwne, ciotka nie kontaktowała się z nami od lat. I co ona nam niby mogła zostawić? Dzieła zebrane Lenina w twardej oprawie?

– Nie wygłupiaj się! Może raczej jakąś piękną starą biżuterię? Albo trochę gotówki? Ewelina zaśmiała się ironicznie.

– Akurat! Przecież ona nie śmierdziała groszem. A co do biżuterii, to matka zawsze mówiła, że ciotka nosi tylko Jablonex. Nie, ja myślę, że dostaniemy jakiś stary, popsuty telewizor. Na spólkę.

W tym momencie Lilka odchrząknęła.

– A dlaczego tak uważasz? – spytała ostrożnie.

– Dlaczego uważam co?

– Dlaczego uważasz, że ciotka nie miała pieniędzy?

Do Lilki dotarło ciężkie westchnienie siostry.

– No, przecież matka tak zawsze mówiła. Że ciotka się zaszyła na wsi, prowadzi jakiś marny hotelik...

– A mnie się wydaje, że ona nie była kierowniczką, tylko właścicielką. Pamiętasz, byliśmy tam kiedyś na wakacjach, wieki temu, jeszcze zanim matka tak się z nią dramatycznie pożarła. I coś mi się kołacze...

– Daj spokój, Liluś, jak ciotka komunistka mogłaby mieć hotel? Puknij się w czoło!

– Może masz rację.

– Pewnie, że mam. Rób miejsce na półkach na dzieła Lenina!

A potem spotkały się na sali sądowej i w oszołomieniu wysłuchały sentencji, odczytanej monotonnym głosem przez znudzonego sędziego. Kiedy skończył, tlenioną blondynę, której przypadły w spadku jakieś drobiazgi, wymiotło z sali. Wybiegła, z hukiem zatrzaskując za sobą ciężkie drzwi.

To było zaledwie dwie godziny temu.

Lilka, mrużąc oczy od słońca, odgoniła leniwie następną osę, która pojawiła się od strony stojącego parę metrów dalej i pełnego puszek po piwie kosza na śmieci.

No cóż, westchnęła. Czas najwyższy zatelefonować do matki.

Po trzech sygnałach usłyszała przeciągłe: „Słucham.”

– Cześć, mamó, to ja.

– Lileczka! Nareszcie! Już się zaczęłam niepokoić! Od tygodnia nie dajecie znaku życia, ani ty, ani twoja siostra! Gdyby nie to, że byłam taka zajęta, no wiesz, przygotowujemy nową premierę, sama bym zadzwoniła. Ale pojęcia nie masz, ile mnie ten spektakl nerwów kosztuje! Ta młodzież wychodzi dziś ze szkoły aktorskiej niedouczona po prostu...

– Mamó...

– ... żadnego warsztatu, żadnej techniki. Nawet roli się nie potrafią porządnie nauczyć! Czy to takie straszne wymaganie? Choćby z szacunku dla reżysera.

– Mamó...

– ... i dla starszych kolegów. Ja jakoś mogłam się przygotować do roli już na pierwszą próbę! Więc sama rozumiesz, całe dni spędzam teraz w teatrze.

– Mamó!

– ... bo za tydzień premiera. Cała Jelenia Góra nie może się doczekać. Plakaty co prawda zrobili fatalne, takie ostre kolory, za to nazwiska petitem, prawie nic nie widać, ale to jakiś awangardowy twórca, czego się po takim spodziewać.

– Mamó! Czy możesz mnie przez chwilę posłuchać?!

Po drugiej stronie słuchawki zapadła urażona cisza. Lilka wzięła głęboki oddech i wypaliła:

– Ciotka Felicja zostawiła nam w spadku swój hotel! Mnie i Ewelinie!

ROZDZIAŁ 1

Za długa... za ciemna... za kwiecista... za krótka...

Lilka nerwowo przesuwała wieszaki, szukając odpowiedniej sukienki, w której mogłaby się bez większego stresu pokazać matce, choć i tak wiedziała doskonale, że jej nie zadowolili. Co innego Ewelina. Mama zawsze cmokała nad nią z zachwytem. No cóż, obiektywnie rzecz biorąc, miała nad czym. Młodsza z panien Ostaszewskich miała świetny gust, idealne wyczucie smaku oraz figurę, na której nawet najzwyczajniejsze ciuchy wyglądały elegancko.

A poza tym Ewelinka nigdy nie nosiła zwykłych ciuchów...

Lilka rzuciła okiem na zegarek, jęknęła i zrezygnowana oparła się o otwarte szeroko drzwi szafy. Był to piękny, stary, brzuchaty mebel – zaskakująco praktyczny prezent od matki z okazji ślubu. Właściwie po rozwodzie powinna ją była jak najszybciej sprzedać, bo ilekroć sięgała do środka, czuła ulotny zapach męskiej wody kolońskiej i opadały ją niepotrzebne wspomnienia. Wyrastała jej przed oczami wysoka postać Tomka, słyszała jego śmiech, czuła szorstkość jego zarostu.

Ale jakoś nie mogła pozbyć się tej szafy, za bardzo ją lubiła – te ciemne, intarsjowane w jaśniejsze kwiaty drzwi, pociemniałe ze starości lustro, osadzone w środkowej części... Urzekało ją tajemnicze skrzywienie zawiasów i ten magiczny moment, kiedy otwierało się przed nią mroczne, obiecujące wnętrze. A jej własne odbicie w tafli pokrytej siecią cieniutkich pęknięć, mniej ostre i bardziej subtelne niż we współczesnych lustrach, sprawiało wrażenie, jakby przeniosła się do innej, bajkowej rzeczywistości.

Ach, gdyby rzeczywiście mogła się gdzieś przenieść!

Nagle na parapecie zabrzączał telefon. Lilka drgnęła, wyrwana z zamyślenia, i podeszła szybko do okna. Podniosła dużą, plastikową szarą słuchawkę. Ten aparat był prawie jej rówieśnikiem. Pamiętała go z dzieciństwa jako jedną z niewielu stałych rzeczy w swoim rozchwianym życiu. Zmieniały się miasta, mieszkania, matka przechodziła wraz z rolami kolejne metamorfozy, a stary telefon, pożyczony z teatralnej garderoby, trwał.

– Znowu masz wyłączoną komórkę! Czekam na dole. Gotowa jesteś?

To była Ewelina, drugi i ostatni stały element.

– Jeszcze nie. Nie mogę znaleźć nic odpowiedniego. Po co się tak nagle ciepło zrobiło?

– Żartujesz? Wiesz, która jest?! Za pół godziny musimy być na Centralnym! Wrzucaj na siebie cokolwiek i jedziemy.

– Ale... – zaczęła niepewnie Lilka.

– Cholera, z tobą jak z dzieckiem! Idę na górę.

Lilka rzuciła się z powrotem w stronę szafy i wyciągnęła z niej na chybił trafił białe, płócienne spodnie i bluzkę w kolorowe groszki z krótkimi, bufiastymi rękawami. Ciekawe, dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej.

Co prawda matka na pewno jej wytknie, że nie powinna nosić jasnych spodni, bo jest za gruba, ale co tam... właściwie wszystko jedno, co na siebie włoży, matka i tak będzie dogadywać.

Spojrzała w lustro – nawet nieźle.

Wysoka szatynka o dużych, piwnych oczach, nieco może zbyt postawna, ale właściwie zgrabna. Tylko ten tyłek, no faktycznie, mógłby być trochę mniejszy...

Zdecydowanym ruchem ściągnęła z włosów gumkę, którą były zebrane w kucyk. Rozsypały się puszyste, półdługie, otaczając ciemną, błyszczącą ramą jej bladą twarz. Lilka uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem.

W tym momencie trzasnęły drzwi wejściowe i zbliżający się odgłos energicznych kroków oznajmił nadejście siostry.

– Gdzie jesteś, niedołęgo? – krzyknęła Ewelina, choć na czterdziestu sześciu metrach kwadratowych trudno było się schować.

Po chwili stanęła w drzwiach sypialni i mrużąc wielkie, zielone oczy obrzuciła kreację siostry krytycznym spojrzeniem. Sama oczywiście była wystylizowana perfekcyjnie. Oliwkowe najmodniejsze spodnie rurki, zielona lniana tunika z dużym pęknięciem na dekolcie ozdobionym delikatną wstęgą paciorków, do tego złote balerinki. Miedzianorude loki miała związane w koński ogon wzorzystą apaszką. Szczupła i długonoga, prezentowała się oszałamiająco.

Lilka poczuła leciutkie ukłucie zazdrości.

– Ślicznie wyglądasz – westchnęła, całując siostrę w piegowaty policzek.

Ewelina odsunęła się dwa kroki w tył. Nie przepadała za takimi czułościami.

– No dobra, ty właściwie też. Niezłe portki. Nowe?

– Coś ty, z zeszłego roku, kupiłam w H&M.

– Czekaaj, czekaaj... – Ewelina podeszła do komody i zaczęła grzebać w niewielkiej, drewnianej szkatułce na biżuterię.

– Musimy dołożyć jeszcze coś na szyję. Gdzie masz ten turkus na obróżce? Aha, i żadnych rozdeptanych tenisówek! Najlepiej weź te klapki na obcasie, wiesz, jak matka lubi takie babskie szcegółty.

Kiedy wreszcie zatrzasnęły za sobą drzwi, do przyjazdu pociągu zostało im zaledwie piętnaście minut.

Nowe auto siostry, małe czarne suzuki coś tam, stało zaparkowane w pełnym słońcu po przeciwnej stronie ulicy. Po otwarciu drzwiczek ze środka buchnęło gorąco. Ewcia niecierpliwie zapuściła silnik, pstryknęła klimatyzację i wystartowała jak do pożaru.

– Zdążymy? – Lilka, którą przyspieszenie wcisnęło w fotel, nerwowo usiłowała zapiąć pas.

– Może... Jak w Śródmieściu nie będzie korków.

Wydostały się na Aleję Waszyngtona i Ewelina docisnęła pedał gazu jeszcze mocniej.

– Musisz tak pędzić?! Ile ty masz koni w tym samochodziku? – Lilka panicznie bała się szybkiej jazdy.

– Sto dwadzieścia pięć – odparła zapytana z wyraźną satysfakcją – to sportowa wersja. A w przyszłym miesiącu mają mi go jeszcze podrasować. Czekam tylko na forsę za jedną fuchę. Będzie jak rakietka.

– Już jest... – jęknęła słabym głosem Lilka i zamknęła oczy. Ruda wariatka za kierownicą roześmiała się radośnie i nagle gwałtownie nacisnęła hamulec.

– Cholera... korek!

Samochód zwolnił gwałtownie. Lilka odetchnęła z ulgą i zdecydowała się otworzyć oczy. Dojeżdżały właśnie do Ronda de Gaulle'a. Pierwsze, co zobaczyła, to że ktoś obskubał z liści sztuczną palmę tkwiącą pośrodku.

– Patrz, Ewcia, palma tysa.

– Dobra, dobra, nie zwracaj mi teraz głowy, widzisz ten korek? Wyobrażasz sobie, co będzie, jeśli się spóźnimy? – Ruszyła gwałtownie do przodu i, o włos mijając zderzak żółtej renówki, przeskoczyła na pas dla autobusów, przyprawiając tym Lilkę prawie o zawał serca. Tylko dzięki takiemu sposobowi jazdy udało im się dotrzeć na peron równo z pociągiem.

– Który wagon, który? – Lilka z trudem łapała powietrze po szaleńczym biegu z parkingu.

– Czwarty! – No proszę, w głosie siostry nie było ani śladu zadyszki. Przystanąła sobie spokojnie obok stoiska z prasą, poprawiając wzburzone od biegu włosy.

– Jezu, co tu tak śmierdzi? – skrzywiła mały piegowaty nosek i rozejrzała się z obrzydzeniem wokół.

Pociąg, skrzypiąc niemiłosiernie hamulcami, stanął na peronie.

– Gdzie ta czwórka? – Lilka, jak zwykle przed spotkaniem z matką, była zdenerwowana i rozkojarzona.

Ewelina pociągnęła siostrę za rękę.

– Chodź.

Właśnie znalazły się przy właściwym wagonie, kiedy w jego drzwiach ukazała się matka. Prawie jej nie poznały. Zrobiona tym razem na jasny rudy, miała dużo krótsze niż ostatnio, modnie ostrzyżone włosy. Idealnie umalowana, ubrana w mocno wydekoltowaną, zielonkawą kreację, wyglądała wyjątkowo atrakcyjnie i elegancko.

Jak zwykle, najpierw przystanęła i rozejrzała się teatralnie wkoło, nie bacząc na napierających z tyłu podróżnych, a dopiero potem podała konduktorowi niewielką skórzaną walizeczkę. Kiedy po odstawieniu bagażu na peron podał matce rękę, zdecydowała się wreszcie wysiąść.

– Spóźniłyście się – stwierdziła zamiast powitania.

– Ależ skąd, mammo... – zaprotestowała Lilka, cmokając napudrowany policzek. W odpowiedzi usłyszała wypowiedzianą wściekłym szeptem uwagę:

– Prosiłam cię już, żebyś publicznie tak się do mnie nie zwracała. Jeszcze ktoś pomyśli, że jestem twoją matką.

– Przecież jesteś – bezlitośnie przypomniała Ewcią, ściskając mocno rodzicielkę.

– Ale osoby postronne nie muszą o tym wiedzieć. Ślicznie, Ewusiu kochana, wyglądasz w tej zieleni.

– Dziękuję. To co, idziemy?

– Tak, tak, oczywiście. Lila, weź moją walizkę, proszę. Przynajmniej będzie wiadomo, po co nałożyłaś te okropne drelichowe portki. A tyle razy ci mówiłam, że nie masz figury do spodni!

Kiedy wsiadły do auta, niewielką przestrzeń wypełnił od razu intensywny zapach Chanel numer 5, któremu matka była wierna od lat, oraz jej równie intensywny monolog. W ciągu piętnastu minut podróży zdążyła opowiedzieć córkom ze szczegółami o przygotowaniach do najnowszej premiery, konfliktach z młodszą częścią zespołu, nieporozumieniach z mężem – reżyserem oraz o absolutnej niemożności dogadania się z teatralnym kostiumologiem. Świat się najwyraźniej na nią uwziął, czego potwierdzeniem miał być fakt, że fryzjerka, z której usług od lat była zadowolona, tym razem przy farbowaniu się nie popisała.

– Ależ mammo – zaprotestowała Lilka. – Przecież wyglądasz rewelacyjnie! W tym kolorze jest ci po prostu świetnie.

Matka próbowała się do niej odwrócić, ale pasy ją zatrzymały.

– Ile razy cię już prosiłam, żebyś się nie wypowiadała na temat rzeczy, na których się nie znasz? To miał być burgund. Burgund! A wyszedł jej zwykły, ordynarny rudy! Tak to jest, jak komuś woda sodowa uderzy do głowy. Najlepszy salon w mieście, myślałby kto! W sumie dobrze się złożyło, dziewczynki, że mnie wezwałyście. Wskoczę sobie w wolnej chwili do tej Hupała. Tylko niestety dwie próby mi przepadną...

– Przecież myśmy cię, mammo, nie wzywały – odezwała się zza kierownicy Ewelina. – Sama wymyśliłaś ten przyjazd. O cholera, jest miejsce! – ucieszyła się i zaparkowała idealnie naprzeciwko swojej kamienicy. – *Voilà!*

W mieszkaniu Eweliny, jak zawsze, uderzył Lilkę graficzny minimalizm. Było to właściwie jedno duże pomieszczenie o białych ścianach, białej podłodze i lakierowanych na biało meblach. Sterylność wnętrza została złamana krwistą czerwienią dywanu i ciemną plamą sprzętu audio, ustawionego na stalowym regale. Porozwieszane wszędzie monochromatyczne grafiki o futurystycznej tematyce nadawały mieszkaniu dziwny i niepokojący, lekko fabryczny charakter. Lilka wzdygnęła się mimo woli. Różne rzeczy można było powiedzieć o tym miejscu, ale na pewno nie to, że jest przytulne.

– Czego się napijecie? – Ewcia wyjęła z lodówki butelkę niegazowanej wody i karton soku jabłkowo-miętowego. – Mamo?

– Ja poproszę herbatkę – westchnęła matka. – Najlepiej zieloną. Wiecie, jaka jest zdrowa? Dosłownie na wszystko. – Emilia Ostaszewska, dla podkreślenia tych słów, dramatycznie zatoczyła ręką szerokie koło, po czym spokojnie sięgnęła do walizki i wyciągnęła z niej elegancką kosmetyczkę gabarytów sporej poduszki. – Wybaczcie, dziewczynki, muszę się odświeżyć. Gdzie tu jest łazienka, bo zawsze zapominam?

Lilka opadła na miękki skórzany fotel. Zadziwiająco, pomyślała, obserwując siostrę krzątającą się w kuchni, jak ona może żyć w takiej... kostnicy! Ani jednego drobiazgu, ani jednego okruszka, ani jednego śladu życia. No, ale jak się ma taką pracę...

Bo Ewcia, mimo że skończyła ASP, postanowiła zostać, ni mniej, ni więcej, tylko technikiem policyjnym. Adrenalina, tłumaczyła wszystkim zainteresowanym swoją zaskakującą decyzję. Sto razy lepsze niż skoki ze spadochronem. Ta śliczna, wiotka i delikatna na pierwszy rzut oka dziewczyna potrzebowała silnych wrażeń jak inni powietrza. Obciążenie genetyczne, twierdziła, wruszając ramionami. Jak się miało ojca – kaskadera...

Lilka uśmiechnęła się leciutko jak zawsze, gdy o nim myślała. Pozostał w jej wspomnieniach wysoki, barczysty, roześmiany, pachnący wodą kolońską Yardleya i z nieodłącznym psem przy nodze. Uwielbiał szybkie samochody, narowiste konie i kobiety z charakterem. Zostawił ich matkę dla jakiejś ambitnej, długonogiej aktoreczki, którą poznał na planie, potem miał jeszcze kilka podobnych, choć coraz młodszych przygód, aż wreszcie, ku zdumieniu przyjaciół i zapewne również własnemu, ustatkował się u boku cichej i niepozornej nauczycielki polskiego, Basi, do której dziewczynki bardzo szybko zaczęły mówić „ciociu”. Była miłą, trochę nijaką osobą, która uciekała na krzesło na widok myszy, mdlała na widok krwi, a na wakacje do Włoch kazała się wozić samochodem, bo bała się latać. Ale za to urodziła ojcu syna, dzięki czemu przestał wychowywać Ewelinę na chłopaka.

– Lili, pomóż mi! – okrzyk siostry dobiegający z kuchni wyrwał Lilkę z zamyślenia.

Okazało się, że Ewcia zrobiła gazpacho. W sam raz na lekki lunch w ten okropny upał. Wzięły talerze, sztucce, wazę z zupą i przeszły do części mieszkania, która służyła za jadalnię.

– Mamo! – gospodyni, przechodząc obok drzwi łazienki, zapukała w nie łyżką wazową. – Wychodź wreszcie!

– Już, już – usłyszały w odpowiedzi i po chwili matka nadeszła tanecznym krokiem, jeszcze bardziej pachnąca i jeszcze staranniejsz umalowana.

Na chwilę przystanęła dla podkreślenia efektu, po czym ruszyła w stronę stołu, na którym pośrodku przyciągała wzrok czerwienią wielką wazą hiszpańskiego chłodnika.

– Ewusiu, jak to apetycznie wygląda – pochwaliła matka, odsuwając sobie krzesło. – I na pewno jest przepyszne. Ale nie nalewaj mi za dużo, rozumiesz, jestem na diecie.

Lilka westchnęła. Do ciągłego faworyzowania siostry już się zdążyła przyzwyczaić, ale kolejna dieta przy nieustannych kłopotach z wątrobą...

– Kochane! – Matka skończyła swoją porcję i zastukała łyżką w kolorze burgunda o blat stołu. – A teraz proszę mi opowiedzieć, o co chodzi z tym spadkiem!

– O nic nie chodzi – wruszyła ramionami Ewelina. Bardzo lubiła gazpacho, teraz jednak miała dziwne trudności z rozkoszowaniem się jego smakiem. – Po prostu ciotka zostawiła nam swój pensjonat, to wszystko.

– Zdecydowałyście już, co z nim zrobicie?

Siostry jak na komendę spuściły głowy. Zapadła cisza. Matka obrzuciła córki uważnym spojrzeniem i skrzywiła wydatne usta.

– Trzeba tam pojechać.

Dziewczyny wymieniły szybkie spojrzenia.

- Jak to? – spytała Lilka, udając zdziwienie. To, że matka wymyśli ten wyjazd, było równie pewne jak to, że będzie się tam chciała wybrać razem z nimi.
- Lilusiu, przecież to oczywiste. Trzeba obejrzeć ten pensjonat. Jak on się nazywał, nie pamiętam... ale w każdym razie to gdzieś niedaleko Radziejowic.
- Masz zamiar jechać z nami?
- Przecież nie mogę was puścić samych. Jeszcze jakieś głupstwo zrobicie.
- Gdybyś nie zauważyła, mamo, to jesteśmy już dorosłe – odpowiedziała sucho Ewelina. – A poza tym wypada się chyba zapowiedzieć przed przyjazdem?
- Po co? Przecież to teraz jest wasze. Kończcie już. Jedziemy.

ROZDZIAŁ 2

Zanim przedostały się przez korek w Alei Krakowskiej, matka zdążyła nakreślić plan na resztę dnia. Najpierw wizyta w pensjonacie ciotki, a potem obiad w pałacu w Radziejowicach.

– To Dom Pracy Twórczej, wiecie? Znam dyrektora, przemiły pan – rzuciła. – No i mają tam świetną kuchnię. Na pewno lepszą niż w tym, pożałuj Boże, hoteliku Felicji – niby całkiem spory, ale bez klasy, zupełnie bez klasy. Ciekawe, jak teraz wygląda... Pewnie trzeba go będzie trochę odnowić, choćby z wierzchu, wtedy drożej sprzedacie.

– Sprzedamy? – zdziwiła się Lilka z tylnego siedzenia.

Matka przytrzymała się jedną ręką deski rozdzielczej – Ewelina gwałtownie skrzyła na lewy pas, wykorzystując lukę między autami.

– Oczywiście, że sprzedacie – stwierdziła tonem nieznoszącym sprzeciwu – Przecież chyba nie zamierzacie go prowadzić? Przede wszystkim żadna z was się na tym nie zna, a zresztą obie jesteście świetnie ustawione w Warszawie. Ty, Lilusiu, masz swoje wydawnictwo...

– Mamo... – jęknęła Lilka. – Przecież wiesz, że nienawidzę tej pracy!

– Oj, zaraz nienawidzę! Mili koledzy, ciekawe tematy, prestiżowe nagrody...

– Mamo! To jest miesięcznik „Medycyna na co dzień”, nie „Twój styl”!!! A ostatnią nagrodę dostaliśmy w kategorii „Zasłużony dla higieny pracy”! – Najbardziej irytującą cechą matki było to, że rzeczywistość wykreowaną na swoje potrzeby uważała za ogólnie obowiązującą. – Gdybym miała dokąd, już dawno bym stamtąd uciekła!

Matka wzruszyła tylko ramionami.

– Bzdura! Między przejściem do innego tytułu a wyniesieniem się na wieś jest jednak pewna różnica, nie sądzisz? Trochę wyobraźni, moja droga. Zresztą ty nawet nie wiesz, ile wydajesz miesięcznie, więc jak sobie niby wyobrażasz zarządzanie hotelem? A zastrzyk gotówki bardzo by się wam przydał. Kupiłabyś wreszcie mieszkanie, Lilka. Może też samochód... A ty, Ewusiu, mogłabyś jechać w tę swoją podróż do Afryki, o której tak ciągle opowiadasz.

– Do Ameryki Południowej, mamo – wtrąciła Ewelina.

– Wszystko jedno, i tak by starczyło. Nie uważacie, dziewczynki, że to kusząca perspektywa?

– Jakoś nie – bąknęła Lilka. – Po co mi auto, jak nie mam prawa jazdy?

Wydostały się wreszcie na szosę katowicką i Ewelina przycisnęła gaz do dechy. Lilka kurczowo trzymała się rączki nad drzwiami. Całe szczęście, że siedziała z tyłu, czuła się wtedy odrobinę bezpieczniej. Czy ta Ewcia zawsze musi tak gnać?

Dwadzieścia minut później skrzyły z szosy w stronę pałacu w Radziejowicach i zatrzymały się obok przystanku Pekaesu.

– Po co stajemy? – zainteresowała się matka.

– A czy któraś z was wie, jak tam dojechać? – spytała z przekąsem Ewelina.
Odpowiedziało jej milczenie. Wsiadła więc z samochodu i oparła się łokciem o dach.
– Dzień dobry! – zwróciła się uprzejmie do czekającej pod wiatą starszej, korpulentnej kobiety. – Nie wie pani przypadkiem, jak dojechać do pensjonatu pani Rudnickiej?
Kobiecina zaskakująco rażno poderwała się z ławki i podeszła w ich stronę.
– A jakże, wiem. Ja tam nawet pracuję, przy sprzątaniu pomagam. Mazurowa jestem.
Eulalia.
– Aha, to którądy? – Ewelina uniosła do góry okulary przeciwsłoneczne, przytrzymując nimi rude loki.
– Jak raz tam właśnie jadę, to może bym pokazała? – zadeklarowała kobiecina, rzucając wymowne spojrzenie na stojące przed nią auto. Widocznie do przyjazdu autobusu zostało jeszcze trochę czasu, a jej się w tym upale nie chciało czekać.
– Oczywiście, proszę, niech pani wsiada – Ewelina otworzyła zachęcająco tylne drzwiczki po swojej stronie.
– Panie na wczasy? – zapytała kobieta ciekawie, kiedy już ruszyły.
– Nie, nie na wczasy – zaprzeczyła matka.
– To pewnie kogoś odwiedzić? Chociaż nie za dużo tam teraz gości. Kiedyś to co innego, całe lato komplet był, a i poza sezonem ciągle ktoś przyjeżdżał. Ale od kilku lat coraz ich mniej, a odkąd stara pani Rudnicka umarła i ta kierowniczką sama wszystkim dyryguje, to już prawie nikogo. Dla mnie też źle, bo roboty mało. O, teraz w prawo będzie.
Ewelina przyhamowała gwałtownie i skręciła w wąską, pełną dziur asfaltową drogę.
– Widziałyście tam jakąś reklamę, strzałkę, cokolwiek? – zdziwiła się. – Jak tu niby mają trafić nowi goście?
Faktycznie, pomyślała Lilka. Reklama przy drodze, podstawowa sprawa. Trzeba będzie zapamiętać.
W tym momencie przed maską wyrosła im wysoka, pomalowana na brązowo brama.
– To tutaj – oznajmiła dumnie kobiecina.
Wjechały do środka. Duża posesja, otoczona lasem, utrzymana była we wdzięcznym stylu lat siedemdziesiątych. Ogrodzenie z siatki na wysokiej podmurówce, wzdłuż asfaltowych alejek kwietne rabatki obłożone kamykami, do tego stare, drewniane ławki w intensywnie seledynowym kolorze. Na trawnikach pyszniły się kolorowe klomby bratków, obramowane pomalowanymi na biało oponami. Nagle Ewelina aż przyhamowała z wrażenia – ich oczom ukazał się hotel.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI